

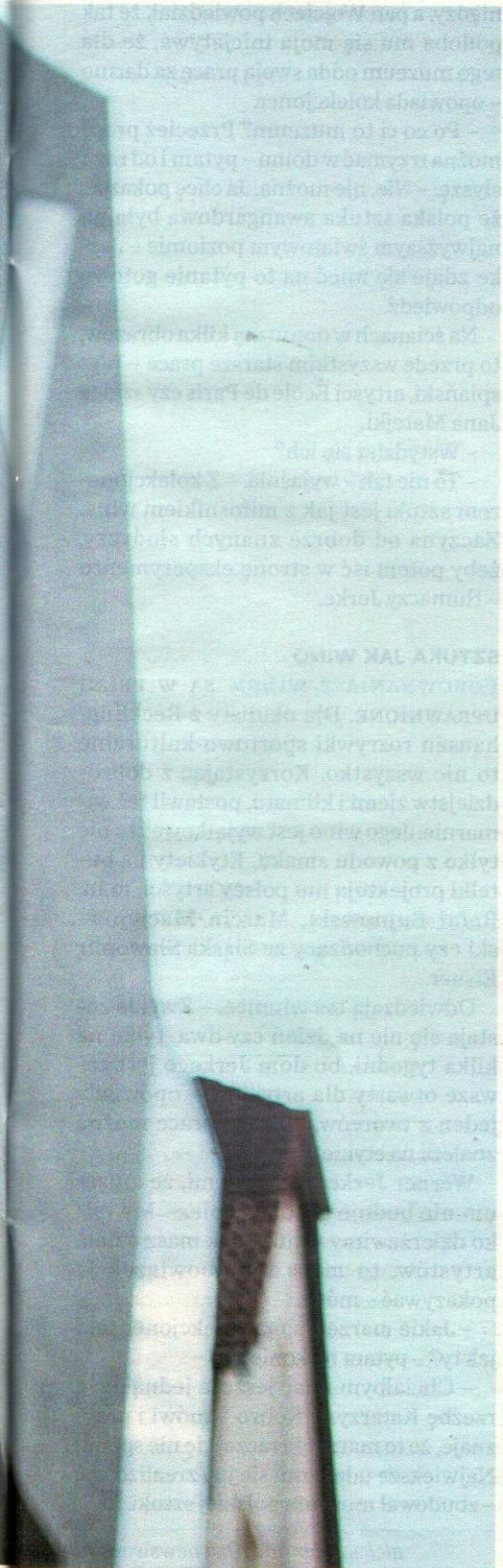
Noc w moim muzeum

Emigrant z Polski, okulista, kibic piłkarski i kolekcjoner polskiej sztuki.

Werner Jerke zbudował w niemieckim Recklinghausen własne muzeum

TEKST ALEKSANDER HUDZIK





FOT. MARCEL KUSCH/DPA/PAP

Czasem wieczorem po pracy przyjdę tu sobie i popatrzę. Posiedzę przed jedną z prac. Wiesz, jakie to fajne uczucie móc być w pustej sali i patrzeć na dzieła Kobro, Strzeмиńskiego czy Wróblewskiego? Kto raz był w muzeum, ten chciałby spędzić w nim noc, a ja mogę sobie na to pozwolić – opowiada Werner Jerke. – Udało mi się.

Muzeum otworzył trzy lata temu. Na ponad 400 metrach galerii ulokowanej w samym centrum Recklinghausen, miasta nieopodal Dortmundu, pokazuje swoje zbiory – jedną z największych na świecie kolekcji polskiej sztuki.

Lubi też spędzać czas na trybunach stadionu, kibicuje wbrew lokalnemu patriotyzmowi piłkarzom Herthy Berlin i – jak mówi – nie bez znaczenia jest to, że ten klub zakładali Polacy.

– To co jest ważniejsze – pytam – piłka czy sztuka?

– Praca, bo jestem trochę pracoholikiem – mówi. – Jak człowiek postoi kilka godzin przy mikroskopie, to potem oczy muszą jakoś odpocząć, na piłkę popatrzyć albo na sztukę.

Jerke prowadzi klinikę okulistyczną, interes idzie dobrze. Dzięki temu stać go na kupowanie dzieł sztuki. W kolekcji ma ponad 600 obrazów, rzeźb, grafik, czasopism i unikatowych książek. Większość to dzieła z Polski.

Spotykamy się na dworcu kolejowym, Jerke wkrótce wsiądzie do pociągu do Krakowa – tam będzie opowiadał o kolekcjonowaniu sztuki. Tymczasem ekspedientka w kasie biletowej pyta go o zniżkę dla emerytów. Lekarz wydaje się trochę rozbawiony, a trochę zbulwersowany, bo choć na oko 60-letni, nie przypomina polskich emerytów. Żywo gestykuje, uśmiecha się przy każdym słowie. Mówi dużo, a polszczyzny może mu pozazdrościć każdy, kto od lat mieszka za granicą.

ŚLĄZACY I POLACY

– **W DOMU NIE MÓWIŁO SIĘ O SZTUCE I NIE MÓWIŁO SIĘ PO POLSKU** – wspomina młodość. Urodził się w Opolu, w rodzinie pochodzenia niemieckiego, w miejscu, gdzie żyli razem Polacy, Niemcy i Ślązacy. W szkole oczywiście mówiło się po

polsku, a na bibliotecznych półkach stały polskie książki. Jerke wspomina, że czytał, co popadnie.

Mówi, że do dziś na jego nocnym stole leżą dwie książki – jedna po niemiecku, druga po polsku. To napisana po polsku biografia francuskiego malarza Maurice'a Utrillo zmieniła niegdyś jego patrzenie na świat. Czytał ją w szpitalu, gdy jako nastolatek złamał nogę. To od barwnej opowieści o paryskiej bohemie z Montmartre'u zaczęła się jego fascynacja sztuką. Wspomina, że kiedyś kupił nawet małą pracę Utrilla.

Zwykle po dzieła sztuki przyjeżdża jednak do Polski, z której wyjechał w 1981 r. Żyłkę do zbieractwa odkrył u siebie jeszcze na studiach. Kiedy w latach 80. odwiedził Kraków, kupował rysunki Józefa Mehoffera i Stanisława Wyspiańskiego. Dziś to nazwiska, które rozpalają wyobraźnię kolekcjonerów, wówczas niewielu interesowało się ich pracami.

Skąd brał pieniądze na dzieła sztuki? – Wiesz, wtedy różnica między marką a złotówką była taka, że nawet studenta z Niemiec było stać na kolekcjonowanie – śmieje się Jerke, który o dużych pieniądzach zdaje się opowiadać półzartem. Prawdziwe kolekcjonowanie rozpoczęło się dopiero wtedy, gdy zaczął naprawdę dobrze zarabiać. Otworzył własną praktykę okulistyczną w Zagłębiu Ruhry. To ona finansuje jego pasję. Zresztą w tamtej okolicy to bardzo częste. „Praktycznie każdy, kogo na to stać, zbiera. Ale kolekcjonerów z prawdziwego zdarzenia na terenie landu jest najwyżej kilkuset” – powiedział w jednym z wywiadów kilka lat temu.

– Ja kupuję prace, które w swoim czasie były kontrowersyjne – opowiada Jerke o kolekcji. Z lat 80. ma prace malarzy z Grupy: Ryszarda Grzyba, Jarosława Modzelewskiego, Marka Sobczyka czy Pawła Kowalewskiego. Sam mówi, że to malarstwo, „które brało się za bary z władzą”.

Kowalewskiemu przygotował w zeszłym roku wystawę. U księdza z pobliskiej parafii wyprosił nawet, żeby kilka prac można było pokazać w kościele. Nie przypadkiem – w latach 80. nie zgodzono się na pokazanie tych olbrzymich

rysunków przedstawiających interpretacje psalmów w jednej z warszawskich świątyni.

Paweł Kowalewski mówi, że Jerke to kolekcjoner, jakich mało w Polsce. Nie tylko kupuje prace, ale chce też poznać artystę. – Jerke jest trochę jak kurator, rozmawia, dopytuje. Masz poczucie, że to, nad czym pracowałeś, trafia we właściwe ręce – tłumaczy malarz.

Jerke mówi, że lubi w sztuce widzieć własne doświadczenia. W kolekcji ma na przykład kilka prac malarza Radka Szłagi, rocznik 1979, który wychowywał się także na Górnym Śląsku, kilka lat po tym, jak Jerke stamtąd wyjechał. Wśród obrazów Szłagi są takie, które opowiadają o tym, jak skrywana wielokulturowa przeszłość miesza się z imigracyjną teraźniejszością.

Jerke świetnie rozumie ten galimatias tożsamości. Takich jak on jest tu, w Zagłębiu Ruhry, więcej. Śmieje się, że gdyby wsłuchać się w głosy na ulicy jego Recklinghausen, to zamiast „gelt” można by usłyszeć „piniondz”. Bardzo popularne są też nazwiska kończące się na -ski. Każda z kuzynek jego żony nosi takie.

DWIE DZIEWCZYNKI

PERŁĄ W ZBIORACH KOLEKCJONERA SĄ PRACE KLASYKÓW POLSKIEJ AWANGARDY: Władysława Strzemińskiego i Katarzyny Kobro. Dwie rzeźby artystki to jego największe skarby, sam nazywa je pieścizotliwie „dziewczynkami”. – Patrz, jakie są piękne – przesuwam palcem po ekranie telefonu, bo część kolekcji pokazał na Instagramie. Kobro kupił wiele lat temu, dziś nie mógłby sobie na to pozwolić. – Teraz za polską sztukę trzeba płacić poważne pieniądze, jeszcze 10 lat temu można było ją kupić naprawdę tanio – tłumaczy. I przyglądając się pracy w telefonie, mówi: – Ja to nawet nie lubię, jak one wyjeżdżają. Albo inaczej: lubię, jak wyjeżdżają, ale jeszcze bardziej lubię, gdy wracają z powrotem do mnie.

„Dziewczynki” i nie tylko one wyjeżdżają często. Kilka lat temu w Łodzi prezentowano wielką wystawę polskiej awangardy, wiele prac przyjechało z Recklinghausen.

Jerke wspomina, że kiedy kupował pracę rzeźbiarki Aliny Szapocznikow,

nie spodziewał się, że jej sztuka stanie się tak popularna. Gdy w 2012 roku nowojorska MoMA organizowała retrospektywę artystki, organizatorzy zadzwonili także do niego. Gdy zobaczył pracę ze swojej kolekcji w słynnym muzeum, był autentycznie wzruszony. Tych mniejszych i większych wzruszeń wciąż przybywa. Niedawno do Katowic na wystawę „Perspektywa wieku dojrzwania” w Muzeum Śląskim przygotowaną przez Andę Rottenberg przyjechało kilka prac z jego kolekcji, w tym rysunek wybitnego malarza Andrzeja Wróblewskiego.

FANGOR I JEGO WITRAŻ

– CZY WIESZ, ŻE W NASZYM ZAGŁĘBIU RUHRY JEST WIĘCEJ MUZEÓW NIŻ W NOWYM JORKU? – rzuca Jerke. W samym Recklinghausen jest ich pięć. Jego muzeum jest wyjątkowe. Surowe, minimalistyczne, w całości utrzymane w kolorze mokrego betonu, wygląda

Jerke w kolekcji ma ponad 600 obrazów, rzeźb, grafik, czasopism i unikatowych książek. Większość to dzieła z Polski

nico ekstrawagancko na tle małowasteczkowej zabudowy ponad 100-tysięcznego miasta. – Muzeum miało prowokować – mówi Jerke. Niespecjalnie chciał słuchać architektów i w końcu stwierdził, że sam dokończy projekt.

Opowiada też o tym, jak pewnego razu zgłosił się do jednego z najwybitniejszych polskich artystów, Wojciecha Fangora, by ten zaprojektował witraż do jego muzeum. Malarz najpierw się wzbierał, potem narysował kilka szkiców i ostatecznie sam zdecydował, w którym miejscu powinna być umieszczona jego praca i jak wkomponować ją w budynek. – W końcu przyszło do płacenia, pytam, ile mam przygotować pie-

niędzy, a pan Wojciech powiedział, że tak podoba mu się moja inicjatywa, że dla tego muzeum odda swoją pracę za darmo – opowiada kolekcjoner.

– Po co ci to muzeum? Przecież prace można trzymać w domu – pytam i od razu słyszę: – Nie, nie można. Ja chcę pokazać, że polska sztuka awangardowa była na najwyższym światowym poziomie – Jerke zdaje się mieć na to pytanie gotową odpowiedź.

Na ścianach w domu ma kilka obrazów, to przede wszystkim starsze prace – Wypiański, artyści École de Paris czy szkice Jana Matejki.

– Wstydzisz się ich?

– To nie tak – wyjaśnia. – Z kolekcjonerem sztuki jest jak z miłośnikiem wina. Zaczyna od dobrze znanych słodczy, żeby potem iść w stronę eksperymentu – tłumaczy Jerke.

SZTUKA JAK WINO

PORÓWNIANIA Z WINEM SĄ W PEŁNI UPRAWNIONE. Dla okulisty z Recklinghausen rozrywki sportowo-kulturalne to nie wszystko. Korzystając z dobrodziejstw ziemi i klimatu, postawił też winiarnie. Jego wino jest wyjątkowe i to nie tylko z powodu smaku. Etykiety na butelki projektują mu polscy artyści, m.in. Rafał Bujnowski, Marcin Maciejowski czy pochodzący ze Śląska Sławomir Elsner.

Odwiedzają też winnice. – Zwykle zostaje się nie na dzień czy dwa, tylko na kilka tygodni, bo dom Jerkego jest zawsze otwarty dla artystów – opowiada jeden z twórców, którego prace można znaleźć na etykietach.

Werner Jerke tłumaczy mi, że muzeum nie buduje się dla siebie. – My tylko dzierżawimy sztukę. Jak masz dzieła artystów, to masz też obowiązek je pokazywać – mówi.

– Jakie marzenia ma kolekcjoner taki jak ty? – pytam na koniec.

– Chciałbym mieć jeszcze jedną dużą rzeźbę Katarzyny Kobro – mówi i przyznaje, że to marzenie raczej się nie spełni. Największe udało mu się już zrealizować – zbudował muzeum polskiej sztuki. **N**

aleksander.hudzik@newsweek.pl